

Kto ich w końcu uciszy?

Białe ptaki w skalistej sadzawce, na głazach morską pianą.

Przed nami trzy dni spadających gwiazd, tak przynajmniej mówią.

Wiatr szaleje wśród wznoszących się tu wież. Gra na drutach na szczycie wzgórza; w cienistych drzewach, gdzie mdlący zapach gnijącej wierzbówki zalega na wydeptanych w trawie ścieżkach.

Morze jak stale zmienna powierzchnia, lustro z obsydianu, które odbija okruchy dnia. Przede mną trzy dni niespokojnego snu w tym odległym zakątku.

Lato już odchodzi; przyptyw nadciąga szybko ku wejściu jaskini, w której maleńkie stworzonka śpią w szczelinach skał, usianych gwiazdami pąkli. W samym wnętrzu krwistoczerwone porosty wspinają się po ścianach. Przyptywy i odpływy wyznaczają dzień i noc tym, co tu mieszkają, czekając, aż próżnia się wypełni, by się obudzić.

Szczaw i czerwone trawy falują na polach wokół szpitala psychiatrycznego świętej Ity. *Poprzysiągłem, że wciąż będę ponawiał prośby, żebyście mnie wypuścili...* Czytam niewystany list, datowany na rok 1912. Gerald, pacjent, błaga swego ojca o zwolnienie ze szpitala lub choć o przywileje, jakie daje wolność. Za jego życia te prośby i marzenia pozostaną niespełnione: *Bardzo bym chciał chodzić na spacerów wzdłuż brzegu morza w pogodne dni, siadać na wydmach i oddawać się rozkoszom lektury Shakespeare'a i innych gwiazd angielskiej literatury.*

Najbielsze z ptaków siedzą na skałach pokrytych przez wodorosty, jasnobrązowe na tle morza, mleczno-zielone po deszczu. Nawoływają się mewy i hałaśliwe rybitwy, dźwięk ich mowy dociera do mnie na brzegu, lecz nie rozumiem ani słowa. To jednak bez znaczenia, bo właśnie tam jest moje serce.

Spaceruję po pożytkowanych głazach, które chrzęszczą mi pod stopami, i staram się nie poślizgnąć. Erozja odstania faunę zamieszkującą czarne skały łupku, spływające ku morzu. Cienie przemykają przez wyspę Lambay, a w dali na morzu porusza się jakiś kształt. Biorę lornetkę i usiłuję zobaczyć, co to takiego: fala, grzywacz, foka; cokolwiek to jest, postanawia nie ujawniać swej natury. Świat, w który długo wpatruję się przez soczewki, jest zamazany; moje oczy na wodzie, woda rozpryskuje się o brzegi, każde oko jest wyspą.

Odkrywszy, że natura na zewnątrz mnie wynagradza mi mą własną, podchodzę czarną ścieżką obok szpitala świętej Ity, i znów smutne ze mnie stworzenie. Jerzyki śmigają mi nad głową, ciemne fale, ich świst jak łan jęczmienia, którego szept niesie się

po klifach. Miękkie złociste akordy rozśpiewują pełne pszczoł kwiaty starca jakubka. *Uważam, że obecnie wszedłem w nową epokę egzystencji, to dalszy ciąg listu.*

Skały, tak czynne w procesie swej formacji, teraz leżą cicho wzdłuż brzegu morza. Maleńki czułek wysuwa się ze szczeliny w ścianie jaskini; stworzenia, które, jak się zdaje, trwają niezmienione od czasów eksplozji kambryjskiej. Być może skały pamiętają swą ognistą przeszłość i chętnie witają morskie wody wzbierające na aksamitnoczerwonych kamieniach, gdzie paszcze zawilców czekają, by fale wypluły białe kości morskich zwierząt.

Nie będziemy dziś spać, bo meteory Perseidów spadają na nas, na miejsce naszego schronienia. Czarny, lśniący horyzont pochłania ich smugi. *Pogrzebałem już me nadzieje na zwolnienie ze szpitala... Morze przesypuje piasek, pcha kłęb wodorostów przyspanych do obłych skał dna, wznosząc się, opadając. Wieże potężnieją na horyzoncie, wieża zegarowa szpitala świętej Łty, wieża ciśnień, okrągła wieża i wieża Martello na brzegu morza.*

Czemu budujemy wieże? Aby gromadzić wodę, aby gromadzić czas, aby pamiętać, że trzeba się chronić przed utratą i niebezpieczeństwem, i niebezpieczeństwem utraty, utraty siebie, utraty rozumu, miejsca, czasu, rozumu. Wszystkiego, co może zostać zmiecione do czysta, a my znów skończymy, leżąc na plecach, w ciemności, na zawsze.

Ponad ostatnim rowem wiatr niesie nasiona ostów od szpitala świętej Łty, delikatne jasne kule, subtelne i ruchliwe, nad morze, gdzie nie będą mogły wyrosnąć, chyba że dotrą do Lambay, nad którą biała chmura unosi się jak myśl.



Jacek Bodzak, *Konfrontacje*